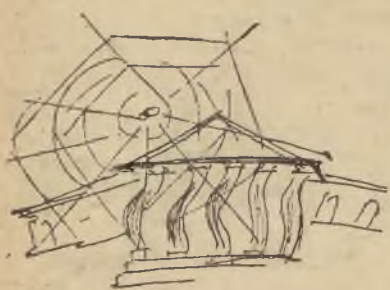


L. Ciechanowiecka

W świątyni Molocha

Ilustrowała Jadwiga Umińska



Kto mówił, że pajak finansjery międzynarodowej oplótł nas i dusi, że mądra żydowska wysysa soki z Polski?

Giełda jest podobno też mądrym siedziwą? Otóż stwierdzam, że jej wrót pilnuje nie żaden jadowity, bruchaty żyd, tylko sarmata, stu procentowy słowianin, stróż Jazenty, czy Wincenty w wytartym kaptanie i granatowej maciejówce. On to reguluje ruch na giełdzie. Od niego zależy, czy ten, lub inny rekin dostanie się do wnętrza. Gdy powie: „Wont!”, to najgrubszy finansista cofa się przerażony.

Jakież to pocieszające!

Czekamy pod filarami odra-panego gmachu. Dworzec odjazdowy do krainy Fortuny... Nie każdy ma tu wstęp. Na wznieśnięciu przechadzają się dwaj biblijni prorocy, w halatach. Nie mają magiez- nego passe partout, więc czekają na dworze, na „jecha balu”. Naprzeciwko znamienne szlidy: M. Bankier (ale sprzedaje radjospęł), „Wy twórnia otoman i klubowców” (bez wyszczególnienia, czy z Myśliwskie- go, czy z Resursy).

Zjawia się wreszcie jeden z po- tentatów giełdy. Wprowadza nas do ciemnego przedsionka. Potem przy- chodzi dyrektor, potem po długich pertraktacjach, groźnie wyglądający pan w binoklach zasiada w szklanej kłacie i wpisuje nas do zielonej książki.

Niewielka szatnia — na lewo dłu- gi korytarz, na prawo drzwi do głównej sali.

Niebotyczna, mroczna jak dusza lichwiarza, świątynia, albo bóżnica. Po brnatnych ścianach pełna cie- nie i gęstnieją w wykuszach gotye- kich arkad i wnękach wysokich o- kien, przez które sęczy się trupio blade światło. Z obydwóch stron kolatorskie ławy i barjery drewnia- ne, oślizgie, wytarte dotykami ty- sięcy rąk, chełwych, drapieżnych, nerwowych. Za nimi nieruchomi maklerzy. Co krok dwuramiennie złoście świeczniki, dźwigające za- miast świece dwie rany z kartami, w których mienią się nazwy akcyj. Na okolicy papierów państwowych ruch, jak u Semadeniego w połud- nie. W końcu sali pod Bankiem Pol- skim high life maklerski — wycy- szczony, siwy pan, ubrany jak z i- gły, i elegancki, wygolony brunet. Jedwabne ruchy, słodki szelost jed- wabnych sekretników, transakcje za- łatwane półgłosem, jedwabnym szep- tem.

— Monsieur le Directeur — za- pytuje gruby żyd — jak był Paryż? — Co jest Schweiz? — ryknął nieokleśniony rudzielec.

Dystygowani panowie obrzuci- li go stalowym spojrzaniem. Zamilkł.

Zato po drugiej stronie czekają samotni maklerzy, dotkniętych kry- zisem kompanij. Ongiś szalały tutaj tłum, padły zawrotne cyfry, ro- duli się milionerzy i nędzarze. Dzi- siaj cisza — martwa cisza. Skrom- ne transakcje, maleńkie skoki, od- niechęcenia, dla wprawy, dla trenin- gu. Jednakże i tutaj chwilami za- szyna „coś się dzieć”.

Ta wielka, ciemna sala sprawia wrażenie wulkanicznego terenu. Nie- ustanne bulgotanie, szum, kipienie, a w nieoczekiwanych momentach, tam gdzie było najciszej, wybuchu gejzer rąk, z szalonym hukiem.

Trzech, czterech, dziesięciu giełdza- rzy zdają się wylatywać w powie- trze. Jeden żyd zamienia się w jed- nej chwili w dziewięciu żydów — dziesięciogłowa hydra przylepia się do pulpitu i wymachuje szponiaste- mi łapami.



Trudno sobie wyobrazić, ile hała- su i zamieszania potrafi wywołać dwóch spokojnych żydów. Takich dwóch, mniej lub więcej tysiąch i bruchatych panów spaceruje, albo gawędzi przyjaźnie. I oto nagle, jak- by na nich spadł drut o wysokim napięciu — zaczynają się wic w konwulsjach, tańczą epileptycznie, krzyczą, zaplują się, toczą biał- kami. Wtedy i makler się ożywia. Padają tajemnicze cyfry, stenogra- ficzne skróty niezrozumiałe dla laika.

— Jeden giełd. — Trzy czwarte... Trzydzieści... Dwadzieścia pięć... Na pół dać. Wzmocnia się... Dał Fisz... Wziął Kac... Jak? Co? Kto?

Stary patriarcha w meloniku przypiął się do drugiego:

— Na 7 robiłem, ale już niema odbiorców.



— Co są piątki — Szejman? Na pięć? Na pół?... Wzięło z boku... Już...

Zapłonęły kule białych lamp, ale żółtawe światło nie może zwalczyć mroku.

Przed pulpitem ludzie modlą się, to znów rozgrywają się sceny wo- dzenia, napastowania i droczenia — miłosne gruchania i dwuznaczne pro- pozycje.

Przeważa klasyczny typ cywilizo- wanego, łysawego, odkarmionego — jest jeden brodaty prorok w pepi- latym surducie, jest i barczysty ele- gant ucharakteryzowany na Al Ca- pone.

Znowu zakotłowało się przy pa- pierach prywatnych. Elegant w ir- chowej kamizelce, uczesany a la sechs und sechzig, rozpycha małych smutnych i zaczyna coś szeptać do ucha maklerowi, o zmiejtej gutaper- kowej twarzy. Makler łysnął bladym ekiem i coś mu zaproponował. Gru- bas odskooczył jak oparzony: — Nie dam — nie dam — nie mogę!.. I u- cieka jak Józef od Putyfarowej, gu- bigie zamiast płaszcza — teke.

Nagle — bardzo solidnie i łagod- nie wyglądający starzec zwartował. Podskooczył na dwóch nogach i za- piał:

— Dwadzieścia pięć. — Na 60 dam — wydziera się drugi.

Anim się spostrzegła, już jest

tłum, wymachujący rękami, dyszący, wzburzony.

Jakiś z barania głową wależy lok- ciami i zapytuje chrypliwie:

— Co są Lilpopy, co są Staracho- wiec?

Ktoś weiska głowę pod pachę bro- daezy i wrzeszczy.

— Cwierć!... Cwierć!...

Sędziwy makler z białymi wsa- mi ma już rumieńce, jak rajskie jabłuszko.

— Dwadzieścia... Trzydzieści... Haussa... Haussa.

— Co jest Cukier? — wdiera się pytajnik proroka.

Nagle na sali robi się jasno. Wbiegł śliczny, elegancki Anglik z zagranicznego banku. Zaraz się wszystko wydaje dziwnie brudne w zestawieniu z tym wymytnym, czy- ściutkim, wysportowanym, wykar- mionym rostbefem i morskim po- wietrzem dżentelmana. Pomknął do boksu walut. A w boksie walut drzemie siwy sarmata.



Blady wędrowni makler pynie przez salę. Jak do magnesu, ciągną doń żywe opikii.

— Co się tu robi? — zapytuje ktoś. — Lekeczważę odpowiedź brzmi: — Bony... tylko bony...

Ciechutki blondasek szepce coś u- przejmie do ucha tłumemu ospowa- temu. Ścisnął sobie ręce. Nagle blondasek przeistoczył się, spojrze- niu i krzyknął na całe gardło:

— Paskarz! pan jesteście paskarz! Łobuz! Szmondak! Pada hasło: 5.62.



To ich nie wzrusza.

Ale po chwili nowa cyfra 5.56 wprowadza dwóch molochów w trans.



Już zauważono, że dwie niewiasty coś skrobia w notesach. Na gieł- dzie nie wpaszeza się ochotnie kobie- to nie dla nich miejsce. Rozeszło się lotem błyskawicy, że „rysują tutaj”. Popłoch, niepokój, potem zacieka- wienie. Ktoś odlepił się od pulpitu i wypinając tors, zapytuje: — Czy to może do ilustracji? Ja mam lep- szy profil od lewego.

Niedaleko umartwych akcyj zrobił się nagle ruch. Wulkan, z którego wylania się głowa Umińskiej. Ak- cje? Transakcje? Nie — tylko wszy- scy naraz chcą pozować do rysunku.

W pewnej chwili podpływa do nas jakiś w zielonym kapeluszu, ze zło- temi i czarnymi zębami: — Co jest? Co panie tu robią? Gdzie dyrektor? Co to za opisywanie? Nie żięze so- bie bić wirysowany.

— Niema obawy, maluje się tyl- ko przystojnych — syknął sąsiad. A drugi dodaje: — Dobrze mu tak. Niech go panie uziódzą. To anti- patyczny człowiek. Bogaty — ce- ce-ce. A skąpy!...

Teraz rozpętały się żywioły. Przy- jaciele zaczynają dawać informacje o przyjacielach. Zapomniano na chwilę o transakcjach.

Na giełdach świata zapanowała ci- sza. Na Królewskiej ulicy nastąpiła niezrozumiała przerwa. Wallstreet się denerwuje. Nowy Jork szaleje... Giełdy świata trzęsą się z niepokoj- u. — Co jest? Co jest? Co jest?

A to potentaty warszawskie rzu- ciły wszystko i pozuja do portretu. Solidarność żydowska nie jest czechem słowem. Każdy myśli prze- dewszystkim o drugim i chce mu pomóc.

— I tego też niech panie urzą- dzą. Wesoły typ. Opowiada, że był w Paryżu, a on wraca z Mo- zotowa.

— Tamtego teżby się przydało sportretować. Do kartoteki, na Dziel- ną. Niech panie koniecznie opiszą Żółtoryba. A eadyka już panie chwy- ciły?

— Cadyka? Z Góry Kalwarii? — zapytuje zdumiona.

Mały złośliwy zapomina, że był zajęty podbijaniem Starachowie, wskazuje na dostojnego siwobrodęgo w surducie. — To nie jest eadyk, ale tak jakby. W każdym razie z Kalwarii.

— Aguda — ktoś szepnął mi do

ucha. Inny dodaje: — Koszerny członek giełdy.

Raptem prorok w jasnym surdu- cie spostrzegł się i zbliża się do mnie krokiem Ezechjela, czy Jeremjasza.

— Ja sobie wipraszam. Ja z tego konsekwencje wieczongne. Pan! nawet nie wie jakie.

— Domyślam się. Wyklnię mnie pan do dziesiątego pokolenia.

— Ja nie żięze sobie iszcz do ga- zety. Ja nie pozwalam. Poco? Do którego dzennika?

— Ach, nie! To dla nas, na pa- niątkę, bo pan taki biblijny.

Grubas, upozowany na Al Capone'a, z pożyczką czarną na śliskiej czasce poprawił włosy, wionął per- fumami i pozuje.

— Jakie perfumy? To Stix Co- ty'ego... „wala!...” A właściwie poco, perke — panom to jest potrzebne? „Że demand...”

— Przyda się dla kartoteki — do- rzęca jadowity blondyn.

Dwóch ciągnie za połę futra foto- genicznego semite o wypięgniowa- nej, białej twarzy: — To nasz Va- lentino.

— Ja jestem Fra Diavolo Giełdy...

— A czym pan robi?

— Przeważnie stabilizacyjną —

ale dopłacam.

Wytworny zamerykanizowany pro- si mnie na chwilę na korytarz: — Czy paniem zależy na praw- dziwych giełdziarzach, czy na przy- cępianych, bo ten, co mówi, że Fra Diavolo, to on jest przycepiany członek giełdy...

Rzekłszy to, wychodzi z koryta- rza. Światło sęczy się tutaj przez bardzo wymowne, zakratowane okien- ko, które ma zapewne przypominąć potentatom pieniądza o znikomości spraw doczesnych i o tem, że nie- jedna droga prowadzi na Mokotów.

BAL PRASY 1-go lutego

Erzed krótkami

System Wichciarza

Jeśli północna dzielnica miasta jest chlubą Warszawy, to chlubą dzielnicy północnej jest ulica Franciszkańska. A ktoś jest chlubą ulicy Franciszkańskiej? Już słyszę, jak wołacie wszyscy jedno- i wielkoglownie:

— Pan Majer Cytryn!

Tak, macie rację. Chlubą całej Fran- ciszkańskiej, od Zakroczymskiej aż do Nowiniarskiej jest wspaniały magazyn nici, igieł i guzików, p. Majera Cytry- na. (Od Nowiniarskiej do Nalewki chlubą tej ulicy jest wykładowy bar ko- szerny „A la minute” z elektrycznym propellerem pod sufitem).

Otóż do tej to perły stolicy wszedł raz pewien klient w cyklistówce i za- komenderował:

— Dziesięć grosów czarnych nici no- mer czterdzieści, pięć grosów białych, numer trzydzieści, dziesięć zielonkow- atych, numer dwadzieścia i dziesięć po- pielatych, numer dziesięć. Tuzin rol- ków jedwabiu granatowego, tuzin czar- nego, tuzin białego. Skrzynkę mydeł- ków do rysowania, gros zatrasków, gros haftów, gros koników małych, gros portkowych, tuzin naparków, gros igłów ze złotem uszkiem numer 9, gros pasemków bawełny do fastrygi, kilo szpilków, gros tasieków białych, gros tasieków czarnych, tuzin cent- metrow, dwa kolwasy, dziesięć grosów guzików skórzanych małych, dziesięć grosów dużych, dziesięć grosów guzi- ków rogowych, dziesięć grosów ma- łych z jeleniego roga. Aj, cwaj, draj, panie kupiec, bo szef czeka.

Cały personel puścił się w ruch, aby uskutecznić zamówienie.

— Przepraszam pana, a dla kogo ten towar? — spytał pan Cytryn, kłania- jąc się nisko.

Klient w cyklistówce wziął się w bo- ki, zadął głowę i rzekł dumnie:

— Dla magazynu „O katr seą”. Pisz pan rachunek, Marszałkowska sto trzy. A chłopak ganiaj po taksówce. Tylko na jednej nodze, bo szef czeka.

Pan Cytryn ukłonił się jeszcze niżej i co tchu pobiegł wystawiać rachunek. W chwilę potem taksówka, naładowa- na po brzozi ruszyła z przedstawicielem firmy „O katr seą”, oraz upelmocnio- nym do inkasa przedstawicielem fir- my Majer Cytryn.

— Na Nalewkach, pod trzynastem, stań pan, tam mamy wstąpić — rzekł do szefa klient w cyklistówce.

Gdy stanęli na Nalewkach, cyklistów- ka wzięła skrzynkę guzików skórz- anych i rzekła:

— Poczekaj pan,

Prokurent firmy Majer Cytryn cze- kał trzy godziny. Potem, denerwowa- ny do najwyższego stopnia ruszył na poszukiwania. Okoliczność, że dom był przechodni, ułatwiła mu zorientowanie się w sytuacji.

Dopiero w trzy miesiące potem p. Ma- jer spotkał przypadkowo złodzieja, któ- ry zamówił całą taksówkę towaru, aby ukraść skrzynkę guzików wartości stu dwudziestu złotych. Był nim Karol Wichciarz vel Wichtarski, rezydujący stale w „Cyрку”.

Wczoraj, w Izbie Grodzkiej 11-go o- kregu otrzymał czterdzieści miesięcy wię- zienia.

Very.

— A Cemacha panie widzieli? Ten co wygrał trzysta tysięcy. Niech się go panie spytaj o przy- jaciela: czy się już pogodzili? Ma- śiał się z nim podzielić. Tragedja.

— Panie Cemach, panie Cemach! Co z psijacielom?

Cemach, różowy słowiański żyd, w bobrowym futrze, ucieka jak Orfe- usz, ścigany przez Erynie.

— Psijaciel? Świnia nie psija- ciel...

Przez wysokie okna widać stoją- ce w sieni mgłę prostą, dumną, czar- ne drzewa, ogołocone z liści. Blade światło pochmurnego dnia napróżno wależy z mrokiem, pełnągą z każ- dego kąta tej nasyczonej czarnością sali.

Jeszcze przez chwilę kotłuje się wokoło albumu Umińskiej i mojego notesu. Jeszcze ktoś mi udziela nie- proszony kompromitujących infor- macyj o przyjacielach. Ten jest zna- ny skąpiec — 15 razy na dzień ku- puje, ale tylko piątki i o ósemkę taniej, ale ze wszystkimi się kłóci; tamten znów jest znany łobuz, a ten staruszek, żwawo się poruszający, to weteran giełdy, wielki B, z peters- burskiej rodziny bankierskiej. Ma 85 lat — a samopoczucie 24 lat, i „pełną świadomość zmysłową”.

Powietrze giełdy sęczy tym pa- nom. Pływają w gęstej, ciemnej at- mosferze jak ryby. Taki naprzykład pan X. — od 55 lat codziennie od- bywa spacerki na giełdzie. Chyba go tudańka spoczątku przynosiła na re- kach? Ale nie — ma już 75 lat; za- częł, gdy miał lat dwadzieścia. Wy- gląda młodziej, niż niejeden odmio- dzony spomocą szypansa staru- szek. Natomiast, zamknięty w tem terrarium i akwarium słowianin — drugi portier, wygląda jak żywa ilu- stracja do antysemitycznych ulotek: — „Polak wyćsiął jak cytryna przez osmiornicę finansjery...”. Blady, żółty, zgorzkniały. Na szczęście, szlachetnie wyglądający dyrektor Małuszynski króluje na piętrze, więc nie jest narażony na wdycha- nie niezdrowych miazmatów. Jest i świetnie zakonserwowana Miss Gieł- da, tak gruba, jakby była wypchana buknotami.

— A swoją drogą, niech panie nie będa zanadto złośliwe — zwraca się do nas Fra Diavolo. — Giełda to barometr życia gospodarczego...

— Rozumiem, nie należy tłum ba- rometru...

Za chwilę koniec przedstawienia. Teraz kotłuje się w kabinach tele- fonicznych, które luskają żółtymi ślepiami żarówek. U sznurów wiszą nerwowi semieci. Zaraz na falach e- teru popłyną tajemne słowa, lako- nieczne zdania, od których zatrząsą się gliniane molochy.

Jedno słówko — ktoś odłożył re- wolver, który przytykał do skroni. Jedno słówko — ktoś szepnął „ko- niec”. Jeszcze jedno słówko — ktoś pomyślał: „Może jednak!...” Gdzieś zaszlochał ktoś, gdzieś zabrzniał sztyderezy śmiech. Jawia się poblad- ły, zatrośniony twarz i twarz roze- śmiane radośnie. Z tych kabin dy- ryguje się sfora niewidzialnych lu- dzi. W dali, we mgłę trzepoczą szpo- niaste ręce — zgarniają pieniądze, albo szukają ich gorączkowo, po szufladach.

Widmo plajty pynie na obłoku, oddala się, to znów zbliża się, odsu- wane lub przyciągane fala, płynąca z malej, giełdowej kabiny telefonu.



REDAKCJA: Warszawa, Nowy świat 22. Telefon: 545-80 (Centrala). Sekretarz redakcji przyjmuje inte- resantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11 — 12.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691-64. Prenumerata 691-66. Wydział ogłoszeń 691-56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; PiotrkówTrybunański, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnoszeniem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. — Kent (ze kwę P. K. O. Nr. 13550).

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpal- ty (na wszystkich stronach po 6 szpal) na 1-ej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł. lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy a tusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1. tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 ranodo 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieszyński.